

Konza Techno City

Wojownik

Jestem wybrańcem Boga. Biegnę ku jego chwale. Powtarzałem tę mantrę w głowie, jakby była niezawodnym zaklęciem, mającym mnie ocalić. Zmuszałem mięśnie do morderczej pracy; wiara działała niczym naoliwianie trybów w moim ciele i umyśle. Wybijała mnie wysoko; jałowa, twarda ziemia zdawała się sprężysta. Musiałem przynieść mojemu Panu zwycięstwo, gnać przez ten spalony na proch step jak wyrwany z niewoli ogier. Zatrzymać się oznaczało umrzeć. Wzbijałem wokół siebie tumany szarego popiołu, który osłaniał mnie przed armią wroga. Przecinałem martwe ugory jak strzały, które za mną pędziły, ale krajobraz nie stanowił obrazu klęski, nie przyprawiał o łamiący waleczne serca marazm. Nad głową rozwarte miałem niezapominajkowe niebo; wystarczyło zadrzeć głowę, a groza sytuacji przygasła.

Płomienie nie mogą dosięgnąć nieba. Pożoga nigdy nie ogarnie Królestwa Pana, oznajmiał mi ten nieskalany błękit. A przynajmniej gorąco się o tym zapewniałem.

Żelazny grot strzały musnął moją tętnicę; odniosłem wrażenie, że zrobił to w celu makabrycznej pieszczoty. Brzechwa kolejnej otarła się delikatnie o moją skroń. Metr ode mnie wbiła się w poszarzały grunt masywna kula ognia, gasnąc szybko w gęstym pyłe. Wybuchnąłem donośnym, triumfalnym śmiechem, brzmącym naprawdę szalenie. Musiałem opanować emocje. Bóg mnie chroni, pomyślałem gorączkowo. Tylko prawdziwy Stwórca może tak się o mnie troszczyć. Mając nad głową jego rozwarte Królestwo, przedrę się przez tę martwą ziemię...

Najpierw usłyszałem trzask, jak łamanego pnia. Potem upadłem na kolano, ratując się dłońmi przed wyrżnięciem szczęką o spękany grunt. Dopiero wtedy zapalił się w mojej świadomości płomień bólu. Prymitywny, gruby bełt tkwił w łydce; niemal przeleciał na wylot, z taką siłą został ku mnie posłany. Za żadną cenę nie mogłem zostać w miejscu; jednocześnie wyrwałem drewno z ciała, wrzasnąłem rozdzierająco i przetoczyłem się na skos. Uniknąłem lawiny strzał i przekleństw, ryjących ziemię wokół jak wściekłe stado os.

„Panie, czyżby to pycha?” – wymamrotałem w myślach. „Pycha mnie gubi? Próbowałem zmiażdżyć nią wrogów, niejeden wódz tak zwyciężył. I wiele armii tak padło. Stanę się najpokorniejszy, popełnę na kolanach, tylko błagam, nie opuszczaj mnie...”

„ZAMKNIJ SIĘ, KRETYNIE, I BIEGNIJ!” – zagrzmiało nade mną tak, że podłoże zdrząło. Sparaliżował mnie ból i szok, lecz wyrwałem się do przodu, usiłując biec dalej. Przez moment myślałem, że nie ujdę ani kroku, ale mięśnie zeszywniały mi, jakby zamieniły się w stalowy mechanizm. Pognałem o wiele szybciej, natchniony przeświadczeniem, że oto Pan mi się objawił.

Udało mi się pokonać kilkaset metrów, niewyprzedzony przez żaden pocisk. Usłyszałem za sobą wściekłe krzyki i nieludzki ryk; po nim padł na mnie cień lepkiego strachu, jakby zawisł nade mną wielki drapieжник. Wiedziałem, że któraś z najbardziej zażartych bestii robi teraz wszystko, by zniweczyć mój wysiłek. Dwie sekundy później znokautowała mnie przeraźliwie długa strzała, która roztrzaskała mi żebro i wżarła się zachłannie w płuco. Upadłem, jakbym był szmacianą lalką, porzuconą w trakcie zabawy; ból kompletnie mnie ogłuszył. Najpewniej straciłbym przytomność, gdyby nie lodowy piorun, który wpił się w ziemię tuż obok mojej twarzy i rozpadł, wbijając mi w skórę zimne odłamki.

Na kilka sekund zapadła cisza albo to do mnie nie mógł przedrzeć się żaden dźwięk; czułem, jak serce wierzga mi w piersi, a płuco napęlnia się krwią podchodzącą do gardła. Próbowałem łapać powietrze niczym tonący. Myśli i odczucia stały się niewyraźne, przyćmione, obraz zmętniał, jakby z odległych wrzosowisk przypełzła mgła. Zawiodłem, topię się we własnej krwi, pyszałek, który zostawił swój legion i ubzdurał sobie, że na skrzydłach wiary dobiegnie do ziemi obiecanej...

Ktoś chwycił mnie za kark, obracając twarzą ku wrogom, podciągnął brutalnie do pozycji siedzącej i wcisnął do ust mdłą, lepką substancję. Niemal natychmiast uderzyły we mnie wrzaski i rozdzierające huki, a ból zelżał do znośnego. Wróciła ostrość obrazu, ale dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, czego jestem świadkiem.

Tropiący mnie oddział, szaleni Kanibale na spienionych, wyliniałych koniach byli rozrywani na strzępy wraz z wierzchowcami. Widziałem to wyraźnie, klęska dopadła ich jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie; rozprysk krwi i mięsa kończył się tuż przed miejscem, w którym upadłem. Poczulem gorące łzy na policzkach, nie wiedziałem, triumfu czy

przerażenia. Kilkudziesięciu Kanibali zmieniało się w breję z wykarmionych ludzkim mięsem ciał. „Pożoga nigdy nie ogarnie Królestwa Pana, lecz Bóg może zesłać ją na niewiernych” – pomyślałem, starając się powstrzymać drżenie i szok, próbując wręcz przywołać na twarz uśmiech.

„Ćwoki! Prymitywy! Bezmózgi!” – doleciało do mnie poprzez wrzawę. Znałem ten głos, choć przepelniony był nieznaną mi dotąd, pełną podniecenia uciechą. Słyszałem go w głowie niejednokrotnie przed bitwą, a w jej trakcie kategorycznie kazał mi porzucić swoich ludzi i spróbować się przedrzeć. Głos Pana na wysokościach, który finalnie nazwał mnie kretyńcem jakąś minutę temu.

Spojrzałem w jego stronę i ujrzałem wysokiego, szczupłego człowieka w długiej, szarozielonej szacie, który stał przy dwóch błyszczących, piekielnych machinach – to one tak nieznośnie łomotały. Olbrzymie tarcze, jakimi każda z nich była zwieńczona, obracały się w szaleńczym tempie i wypluwały z siebie grad pocisków, który rozrywał ostatnich niedobitków i wciskał się w bordową breję u ich stóp. Strzelający odjął ręce od egzekutorów i odwrócił ku mnie dopiero, gdy nie można było już dojrzeć śladu człowieka ani konia. Przez równinę przemknął wiatr, pchając mi w nozdrza słodko-gorzki smród rzezi. Mój wybawca stanął nade mną i przyjrzał mi się z politowaniem; ciemne oczy błyszczały mu chorobliwie, jakby wciąż był pod wrażeniem swoich czynów. Wyglądał, jakby ledwie przekroczył czterdziestkę, ale jego podłużna twarz była poznaczona głębokimi bruzdami zmarszczek.

– I co? Jesteś z siebie zadowolony? – spytał, szczerząc śnieżnobiałe, równe zęby. Rzucił spojrzenie na mój tors i nogę. Rany nie krwawiły; w plecy wciąż miałem wbity strzałę, ale nie czułem żadnego bólu. Rzeźnik pochylił się nade mną, chwycił pocisk i bezceremonialnie wyszarpał go z mojego ciała. Krzyknąłem, spodziewając się rozrywającej męki, lecz doznałem tylko lekkiego dyskomfortu w klatce. Mężczyzna ponownie złapał mnie za kark i postawił do pionu. Musiał mieć sporą krzepę w żylastych rękach. Kompletnie zdezorientowany, ale pewnie stałem na nogach.

– Biegłem tu na chwałę Pana... – wymamrotałem.

– Słabo biegłeś, jak na chwałę Pana. Musiałem po ciebie wyjść taki kawał spod Tamy. Raczej miałeś zamiar umrzeć na chwałę Pana. Żadna sztuka.

– Twój głos... – wciąż nie mogłem uwierzyć, że to jego słyszałem w swojej głowie. Zaśmiał się i poklepał mnie po ramieniu.

– Tak, tak, jestem twoim Bogiem. Od tygodni nadawałem komunikaty dzięki nadajnikom satelitarnym. – Zaczął przyglądać się uważnie mojej głowie. – Masz jakąś płytkę? Kawalek metalu w głowie?

– W pośladku – przyznałem, nic nie rozumiejąc. – Akurat kopulowałem, gdy spadł Deszcz Machinowy...

– Dobra, dobra. A więc jesteś zdrowy, płodny?

Zmarszczyłem brwi. Działo się tu coś kompletnie niepojętego.

– Co to znaczy, że jesteś moim Bogiem?

Zza odległej linii lasu, w środku którego prowadziliśmy zacieklą walkę z Kanibalami, wzniosł się w niebo tuman pyłu i doleciał nas gadzi ryk. Rzeźnik złapał mnie kurczowo za ramię, wpijając wzrok w ciemną chmurę. Ja też zdałem sobie sprawę, co za chwilę nastąpi.

– Myślałem, że posłali smoka na tyły, żeby odciął wasze posiłki.

– Musiał poczuć rzeź... – odparłem, mrużąc oczy.

Z gęstego obłoku najpierw wynurzyła się ohydna, nawet z daleka wyraźnie niekształtna głowa; Kanibale naszpikowali ją najróżniejszym żelastwem, wwiercając gadzinie w czaszkę i szczękę wszelkie możliwe kolce. Jedno machnięcie olbrzymich, skórzastych skrzydeł, niczym skradzionych zmutowanemu nietoperzowi, i chmura pyłu rozstała się przed gigantycznym, czarnym jaszczurem, który ruszył wprost w naszą stronę.

– Sądzę, że zahipnotyzuje go morze flaków... – mruknął mężczyzna, śledząc lot bestii. – Ale i tak powinniśmy...

– Nie – odparłem. – On nie jada Kanibali. Jest nauczony ich bronić. Ale przecież rozwalisz go tym blaszanym ustrojstwem...

Rzeźnik spojrział na mnie jak na wariata. Widziałem, jak błyskawicznie sztywnieje każdy mięsień w jego długim ciele. Ponownie rozległ się ryk, tym razem ogłuszający, stanowczo zbyt blisko.

– Nie ma jeszcze takiej technologii, która przebiłaby smoczą skórę. BIEGNIJ, GŁUPCZE!

Rzeźnik

Zerwałem się z miejsca jak antylopa; na szczęście gówniarz ruszył za mną w tym samym tempie. Na nałożonym na palec pilocie od kałachów pneumatycznych wcisnąłem „AUTODESTRUKCJA”. Natychmiast rozległ się łomot wybuchu i popchnęła nas fala uderzeniowa. Jednocześnie dotarł do mnie smród stopionej stali i smoczey siarki, gotowej do wyrzutu. Gad był tuż za nami; leciał bezszelestnie, by runąć na swoje ofiary zniemacka. Do Tamy mieliśmy jakieś dwa kilometry. Bez szans, gdyby nie zestaw antysmoczy, który upchałem pod wszystko-prócz-smoczego-ognia-odporną-kamizelką. Wyciągnąłem maleńką fiolkę z szaro-błękitnym pyłem, rozgniotłem w dłoni i cisnąłem ponad głowę. Ukrył nas jaskrawo niebieski obłok zmrożonego metalu konzowskiego, który działał drażniąco na smocze spojówki. Po chwili usłyszałem pomruk wściekłości, tuż nad swoją głową – paraliżujące doznanie. Zaraz potem spadł na nas deszcz gorących, słodko-gorzkich smoczych łez. Popychadło Kanibali wylądowało tuż za nami, wzniecając nową chmurę i wprawiając kamienny grunt w drzenie. Zyskaliśmy kilkanaście sekund, nim układ odporny jaszczurki poradzi sobie z trucizną.

– Nie da się przekroczyć Tamy! – krzyknął młody wojownik.

– To na cholere do niej biegłeś?! – warknąłem, macając kolejne fanty pod ultra cienką kamizelką prawie-wszystko-odporną. – Jestem twoim Bogiem, przeprowadzę cię przez Tamę!

– Dlaczego?!

– Bo oprócz mnie nie ma tam żadnego żywego mężczyzny, a sam nie zapłodnię córki!

Nawet nie spojrziałem na jego minę; liczyłem wyszarpane zza pazuchy miny odłamkowe. Miałem sześć, aktywowałem cztery i wyrzuciłem za siebie. Docierały do celu, wżerały się w skórę za pomocą mocno stężonego kwasu i wybuchały, rażąc smoka

lodowatymi kawałkami tytanu. Przebiegliśmy jakiś kilometr; Tama powoli zaczynała wyłaniać się z pola elektrostatycznego. Ze dwie setki metrów i skumulowana energia elektryczna powinna zjeżyć nam włosy na głowach. A wtedy prawie będziemy bezpieczni.

Nieludzka, wściekła skarga udręczonego stworzenia wzniosła się pod niebo. W świecie za Tamą nie uraczy się takich odgłosów. Zdawało się, że grunt zaczął pulsować. Aż za dobrze wiedziałem, co to znaczy – smok pełzył ku nam; mało kto zdaje sobie sprawę, że te skrzydlate gady szybciej poruszają się na lądzie niż w powietrzu. Ziemia opadała ku urwisku, wielki na dziesięć metrów mur na jego skraju – Tama – rósł i chygotał mi w oczach, gdy pędziliśmy w dół jak na złamanie karku. Usłyszałem wściekle kłapnięcie szczęk jakieś trzydzieści metrów za nami, krytycznie blisko. Wyszarpałem spod ubrania półmetrowy, cienki kij i wbiłem w grunt; za nami rozlał się nieznośny, biały blask, który oślepił nawet zza pleców. Smok zaryczał rozdzierająco, przez co Tama zawibrowała, a otaczające ją pole ugięło się jak fala. Niemal w nie wskoczyłem, jak tonący wyciągając ręce w stronę ratunku. Poczulem metaliczny, cierpki smak, skóra natychmiast zaczęła piec, obraz nabrał migoczącej, bladoniebieskiej barwy. Im bliżej tamy, tym bardziej błękitniało w oczach, a fale energii zaczynały wyglądać jak zielonkawe płomienie. Gad wciąż pełzył za nami, ale powoli i opornie, nie mogąc znieść skutków elektrostatycznego pola. Złapałem oszołomionego chłopaka za ramię i zaaplikowałem w nie jaskrawo pomarańczową zawartość strzykawki; ten sam zabieg od razu powtórzyłem na sobie. Obraz stał się zielony, a potem żółty. Moją świadomość ogarnął nieznośny chłód, ciało stężało. Staliśmy się właśnie chodzącymi odpychaczami ładunków pola.

Pociągnąłem towarzysza wprost w Tamę, która rozstąpiła się przed naszymi ciałami i zaraz za nami zamknęła, jakby wchłaniając w siebie. Kiedy znaleźliśmy się w samym środku, wojownik zaczął jęczeć z bólu, słaniając się, ale trzymałem go mocno za łokieć. Sam zacisnąłem szczęki jak kleszcze. Ciśnienie rozpychało narządy, podnosiło zawartość żołądka do gardła, oszałamiało mózg; uszy wypełnił mi obrzydliwy pisk, oczy wytrzeszczyło, jakby gałki usiłowały uciec z oczodołów. Parłem naprzód, licząc sekundy, niemal je inkantując. Jeszcze trzy, dwie, jedna...

Miałem wrażenie, jakby energia elektrostatyczna wypluła nas z nieopisaną ulgą; zawisnęliśmy nad pięćdziesięciometrową przepaścią, utrzymywani w powietrzu przez niematerialną windę autorstwa EJ454.

– Czy to Królestwo Niebieskie? – wymamrotał chłopak, gapiąc się to w dół, na miasto, to za siebie, na Tamę, z której ku cywilizacji spływały pokłady energii. Z nosa i ucha ciekła mu krew, ale wyglądał dobrze.

– To martwe królestwo. Nie myl pośmiertnego zasinienia z błękitem nieba – odparłem. Wykonałem ręką gest aktywujący panel kontrolny windy i wcisnąłem poziom wysokiego miasta. Zaczęliśmy łagodnie opadać ku cywilizacji maszyn, najdziwniejszej rzeczy, o jakiej istnieniu wiedziałem.

Położone na najdalej wysuniętym przylądku Północnej Wyrwy stanowiło skupisko najwyższej możliwej technologii. Po katastrofie Ziemi przetrwała tylko wysoce zaawansowana technika; podczas gdy ludzie z powrotem stawali na nogi i budowali prymitywne społeczeństwa ewolucyjnym tempem, sztuczna inteligencja sama zadbała o własne przetrwanie i rozwój, niezależny od postępu ludzkiej nauki. Miasto maszyn, nazywane KTC – Konza Techno City – stanowiło miejsce pozbawione jakiegokolwiek życia. Nie sposób było znaleźć w nim skrawka organicznego trwania prócz mnie i mojej córki. Roboty potrzebowały bowiem pewnych badań na żywych organizmach rozumnych, głównie genetycznych. Kiedy Kanibale wyrznęli moją osadę, a mnie udało się z niemowlęciem na rękach umknąć pod Tame, maszyny wpuściły mnie na swoją stronę. Zamieszkaliśmy w jednej z nich, wielkim, nieruchomym skanerze, którego wewnętrzna instalacja nadawała się do wykorzystania jako siedziba. Wykonywał na nas bezinwazyjne badania dwadzieścia cztery godziny na dobę, przy okazji przenosząc w nasze receptory informacje o świecie i mieście. Nie wiedziałem, czy stanowiło to umyślne czy też przypadkowe działanie. Zabieg ten nie był zwrotny; skaner poznał wszelkie mechanizmy rządzące ludzkim istnieniem, ale nie podbierał lub nie umiał dostać się do naszych myśli. Mój język, pomimo starań, okazał się nie do opanowania przez maszyny; najwidoczniej ludzka ewolucja potoczyła się nieco inaczej niż miało to miejsce u społeczeństw, które zapoczątkowały byt mieszkańców Konzy. Żyliśmy więc kompletnie swobodnie pomiędzy cudami techniki, stanowiąc integralną część społeczeństwa, lecz niemą, bez werbalnej komunikacji z resztą.

Tak minęło dwadzieścia lat. Znałem każdy skrawek miasta; wielkie, zdające się płynne przez nieustanny ruch monstrem z giętkich, lecz mocnych tworzyw sztucznych, gdzie każdy element, choćby zdawał się opuszczonym budynkiem czy torem pociągu, był na swój sztuczny sposób rozumny. Każda poruszająca się rzecz, choćby do złudzenia przypominała żywy organizm lub zwykłą chmurę, stanowiła mechanizm. Ale maszyny nie potrzebowały

upodabniać się do istot żywych, czerpały jedynie inspirację z natury, zwłaszcza jeśli chodzi o ryby i ptaki. Ultraszybkie pojazdy przypominały foki czy delfiny, podbijające przestworza lotniki prezentowały najróżniejsze rodzaje skrzydeł, od tych zbudowanych jak smocze po wzorowane na kolibrach czy pszczołach. Mieszkańcy Konzy w swoich projektach wykrajali z natury to, co im się podobało – na przykład ludzkie, kocie i pajęczę oczy, które wyzierały z wszelkich mechanizmów na każdym kroku, najczęściej śledząc ruchy wszechobecnej energii, wyłapywanej przez Tamę i spływającej z niej na miasto. Ta cywilizacja istniała w doskonałej synchronizacji, bez żadnych emocji ani dylematów moralnych. Stanowiła najbezpieczniejsze miejsce świata. Właśnie dlatego postanowiłem je skolonizować. Potrzebowałem człowieka, by zapłodnił moją córkę; zauważyłem, że maszyny miały na proch tylko Kanibali, jeśli próbowali przekroczyć Tamę; inne stworzenia żywe odganiały. Pozwoliły mi przyprowadzić do miasta sześć psów, osiem kotów i dwa konie; ich skan trwał przeważnie trzy godziny; po następnej godzinie osobniki męskie usypiano i nieinwazyjnie kastrowano. Mnie także uczyniono bezpłodnym; moja córka pozostała nietknięta.

Wyłożyłem chłopakowi pokrótce i najprościej jak się dało, gdzie się znalazł i co go czeka. Ponieważ uznawał mnie za jakiś rodzaj bóstwa, było to o tyle łatwiejsze, że zawierał na słowo. Zresztą, jaki miał wybór, lewitując ze mną powoli w cicho szemrzące strumieniem nieustannie płynącej energii nieznanie. Nie musiałem wdawać się w poznawcze obrazowanie miasta i jego historii, a tym samym historii świata – sam skaner wkrótce powinien uraczyć chłopca tą opowieścią na poziomie neuronalnym.

Wojownik

Opadłem na przezroczysty grunt. Czuję go pod stopami, lecz nie mogłem dostrzec. Opierały się o niego kolosalne, w większości ruchome budowle, sunęły po nim rybopodobne ustrojstwa; zewsząd wyzierały oczy, ale żadne spojrzenie nie padało na nas. Pod podłożem widziałem jakby niższy poziom, gdzie na buchających iskrami i migoczącymi światłami drogach mrowiły się mechaniczne twory najróżniejszych kształtów i rodzajów, czasem przypominające sylwetką człowieka.

– Wyższe miasto, nie ma tu robotów – skwitował Rzeźnik. Wyglądał na usatysfakcjonowanego i niezdrowo podnieconego. – Opadliśmy tuż przy mojej siedzibie. Zapraszam.

Wskazał na rozległy, ciemny budynek z czegoś, co przypominało stal, lecz było dziwnie giętkie; w niektórych miejscach nagle roztopiało się, bulgocząc albo wyciągając w przestrzeń smołowate ramiona, szczypcy lub ociężałe bańki. Wszedłem za moim wybawcą w krótki tunel, w którym odgłos przypominający przelewającą się wodę był mocno nasilony. Stanęliśmy w surowym, jasnym pomieszczeniu, gdzie jedyną rzeczą różniącą się od białych ścian był czarny kwadrat na środku. Mężczyzna stanął na nim, uczyniłem to samo. Ściany zaczęły mienić się wszelkimi znanymi mi kolorami, a także takimi, których nie umiałbym nazwać. Zemdliło mnie, więc spróbowałem skupić się na czym innym.

– Panie, chcesz skolonizować tę mechaniczną osadę... Nie otwierać bram królestwa, a wypełnić je od środka. Lecz nie sądzisz, że kiedy te *rzeczy* zorientują się w twych zamiarach, będą chciały cię powstrzymać?

– Trafił mi się w miarę bystry, dobrze – skwitował z zadowoleniem mój przewodnik. – Znalazłem główny panel zasilania całego miasta. Takie... słońce królestwa. Nie mogę wyłączyć całego, ponieważ zniszczę istotę tego miejsca i wtargną tu Kanibale oraz wszelkie inne pospólstwo i plugastwo. Ale wiem, jak wyłączyć ten fragment promieni słonecznych, który karmi świadomość maszyn. Wiem, jak ponownie sprowadzić je do funkcji bezmyślnej. Dam skanerowi trzy godziny, by cię przebadał i wprowadził w twoje receptory jak najwięcej danych, po czym wygaszę odpowiedni kawałek źródła energii. Potrzebuję, byś szybko zyskał choć szczątkową wiedzę, by pomóc mnie i córce zarządzać miastem. Kiedy wasze dzieci podrosną, znowu spróbuję ściągnąć tu obce geny. Zasiedlimy Konzę i odzyskamy to, co stanowiło owoc pracy naszych przodków. Będziemy bezpieczni. Potężni. Pozbawiona własnego rozumu technologia pozwoli nam na fenomenalne odkrycia i wynalazki. Podbijemy ten świat i znów będzie taki, jak niegdyś. Rządzony przez rozumnego człowieka i jego wytwory, nie bestie.

Brzmiało to mądrze, lecz niepokojąco. Niepokojąco ludzko, zbyt mało bosko.

Ściany przestały migotać kolorami; staliśmy w pełni umeblowanym domu, o sprzętach, jakich w życiu nie widziałem. Wszystko metalicznie lśniło i szemrało łagodnie, czułem też

nadal nieprzyjemny smak na języku, choć nie tak silny, jak wewnątrz Tamy. Rzeźnik uchylił błyszczące drzwi po lewej, obok gigantycznej, szklanej ściany, po której wędrowały ciągi cyfr; zakręciło mi się w głowie, gdy przez chwilę próbowałem śledzić zjeżdżające w dół i niknące w podłódze liczby. Byłem kompletnie oszołomiony. Rzeźnik złapał mnie za ramię i wciągnął do pomieszczenia z dużym łóżem, na które mnie popchnął. Opadłem na miękką, pachnący kwiatami materał niemal bezwładnie.

– Zaraz się zaczniesz. Najlepiej, gdy będziesz leżał. Może ci pójść krew z nosa, ale nie przejmuj się.

Stał nade mną i patrzył. Czekał, aż zaczniesz się proces wcielania mnie do świata, w którym się znalazłem. Coś wewnątrz mnie stanowczo nakazywało mi znaleźć konia i uciekać. Ale o wiele silniejszy instynkt unieruchomił mnie na posłaniu.

Nagle moje ciało zwiotczało i straciłem wzrok. Poczulem się, jakbym był duchem zawieszonym w nicości. Zalała mnie fala lepkiego strachu, a zaraz potem lawina informacji. Proces przypominał uczucie, jakie towarzyszy, gdy robactwo wpycha się w ciało. Przeżyłem to, gdy uznano mnie za trupa na jednym z pól bitewnych. Nie mogłem się ruszyć, miałem uszkodzone kręgi, a robaki wpełzały mi do nosa, uszu i ust, szukając ciepła i pożywienia. Tym razem w głowę wnikał mi nawał danych, rozpychając świadomość. Historia ludzkości, od prehistorii po wiek XXIII, gdy człowiek ściągnął na siebie zagładę wwierciła mi się w mózg niby kret, rozrywając i rozkopując dotychczasową wiedzę i światopogląd. Zobaczyłem wzrost triumfu ewolucji – ludzkiego rozumu, ujrzałem we własnej głowie owoce jego geniuszu, a potem pogrom, jaki przyniosła ciemna, prymitywna strona ludzkiej natury, której rozum nie zdołał wyprzeć, wręcz zachęcił ją do działania. Pojąłem naturę Konzy, bezpieczną, bo bezintencjonalną, skierowaną wewnątrz siebie, niezainteresowaną światem zewnętrznym. Mój język, moje postrzeganie świata poszerzyło się w kilkadziesiąt minut o gigantyczne obszary; im więcej ich było, tym mocniej czulem moje ciało, krew płynącą ciurkiem z uszu i nozdrzy. Rozumiałem też coraz bardziej, w jakim położeniu się znalazłem i kim jest człowiek, który mnie *zbawił*.

Umysł w końcu przestał puchnąć, zakończyło się zalewanie mojej świadomości przerażającym zrozumieniem ludzkiej duszy. Kiedy wreszcie odzyskałem wzrok i mogłem usiąść, trzęsąc się z szoku i utraty krwi, wstałem i powoli skierowałem się do kuchni, sunąc przez umeblowany skaner niczym lunatyk. Z wielkiego stojaka na noże wyjąłem tasak.

Przeszedłem przez hol i pracownię do gabinetu Parhta. Siedział przed plazmą wyświetlającą kanał informacyjny maszyn i pił pędzony przez siebie bimber; podrygiwał nerwowo nogą, czekając na rychłe urzeczywistnienie swojego planu. Dziewczyna leżała na kanapie, wpatrując się pustymi oczami w sufit. Gdy zbliżyłem się do jej ojca, przeniosła na mnie wzrok; Parht odwrócił ku mnie głowę i uśmiechnął się promiennie. Sądził, że stworzył właśnie bestię podobną sobie. Zdążył jedynie otworzyć usta, gdy rozłupałem jego czaszkę na pół, rozbryzgując wokół lepką, ciepłą krew.

Jego córka nawet nie drgnęła. Wpatrywała się we mnie zielonymi oczami, przepełnionymi czystą świadomością, niezniszczoną ciemną, bestialską stroną natury. Nie znalazłem w nich nic podobnego do zimnych ogników, gasnących właśnie w źrenicach jej ojca, więc uśmiechnąłem się do niej, zamiast ponownie podnieść broń. Usiadłem obok niej na kanapie, podczas gdy budynek skanował zwłoki i unicestwiał je kawałek po kawałku, rozbijając na coraz mniejsze cząstki. Siedziałem tak, póki nie zacząłem robić się senny. Dziewczyna przez cały ten czas tkwiła nieruchomo obok mnie i milczała, jednak gdy zasypiałem, poczułem, jak krótko ściska moją rękę.